Nr. 48. We Lwowie dnia 26. listopada 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z księgi ofiar.

(W rocznicę rzezi krożańskiej).

(Ciąg dalszy.)



Do środka wejść nie było sposobu:
Więc matka wprzód puściwszy nas obu,
Za nami szła, i w świątynię
Przez zbity tłum się cisła narodu.
Jak ta siekierka, głową od spodu
Idąca w drzewo po klinie,
Tak myśmy przed nią młodzi i hoży,
Do dwóch podobni ślizgich węgorzy,
Wijąc się, oczka tych sieci
Wciąż pruli — aż i doszli, gdzie chcieli.

»O! nie zabrali Cię i nie wzięli,
Wdów Opiekunkę i dzieci!
O! módl się...« rzecze matka, padając
Przed Jej ołtarzem we łzach i łkając:
Że jej raz jeszcze przebaczy,
Że jeszcze mszę u stóp Dobrodziejki,
I biały ornat księdza Możejki,
I monstrancję zobaczy.

Toć nie przyszliśmy, tu, do tej matni,
Ani zapóźno, ani ostatni,
By świece tylko wydmuchać;
A jednak matka zaraz u progu,
Wymówek tych, jak ziarnek głogu
Musiała zgryźć i nasłuchać
Tyle się tutaj, patrząc ze wstydem,
Jakby poganką była, lub żydem,
I tak się późno zawlekła.
A Rynkusowa, choć jej po bracie
Cioteczną jest, i w jednej się chacie
Chowały razem — wręcz rzekła:
Że gdy nie będzie nogi mieć szybsze
Na chwałę Bożą — to się jej wyprze,
A niech przystaje »do szyźmy«.
Janowska znowu od się dodała:
»Ot pewnieś pani w domu zaspała?
Gdy my z Galiny przyszłyśmy,
Choć dobra mila drogi i jeszcze
Rozmokłej tak przez słoty i deszcze,
Że aż Krożanta chce przelać
Swe wody — my zaś, nim się wyzłoci
Wyprzedziliśmy słonko od kroci
Skier, co zaczęły już strzelać«.

Spojrzałem w kościół: jakby po mrowiu
Źrenice moje przeszły, i w nowiu,
W bezksiężycowe się koła
Zaczepić chciały, gdzieś pod błękitem
Z tysiąca gwiazd — tak było nabitem
Przez lud to wnętrze kościoła.
A jak ta gwiazdka jaśniej się żarzy,
Czy z większych drgnie, czy z mniejszych lichtarzy,—
Tak samo tu pod sklepieniem,
Na twarzach boleść rosła latami:
U mężczyzn w gniew, u kobiet zaś łzami,
U dzieci małych zdziwieniem.

Nieznanych ludzi, twarze nieznane
Dokołam siebie widział zebrane,
A jednak każde oblicze,
Jak z pod jednego dłuta wyżłobne,
Jedno drugiemu było podobne,
Jak te trójlistki konicze.
O! snać, że ból jednaki, z postaci
Odmiennych, przypominać chciał braci
Przez te wyrazy pokrewne:
Bo dusze bliskie, w smutnem zwierciadle
Odbite tak, jakoby te trznadle,
Gdy są na drzewach — to drzewne.

Gdzie spojrzę: precz sukmany i świty.
Lecz, jak w pochmurne patrząc błękity,
Na niebie ujrzysz nie wiele
Jaśniejszych barw i rąbków błękitnych,
Tak też i tutaj, oprócz tych żytnych
Wianeczków, szaro w kościele.
Przy łapciach wiejskich, tu — owdzie buty,
I pas zobaczysz nieraz już pruty
Żelaznym końcem nahajek;
Bo z okolicznych wsi i zaścianków
Zjechało włościan się i półpanków:
Z Galiny, Popian, Jurkajek...

Aż pełny kościół, że się nie trafi
Tak często widzieć wszystkich z parafji,
Rozbite jeszcze tak stado.
A Jerulowa wciąż opowiada:
Że Sajmajerska jeszcze osada
Przybędzie — i że już jadą.

Lecz mszy nie było... Chociaż z daleka,
Lud bez kawałka chleba i mleka,
Cierpliwie czekał bez miary;
Choć na ołtarzu, Chrystus, Pan świata,
Z przebitą piersią i bez ornata —
A tu bezkrwawej ofiary,
Jak chleb ten białej, nie jak te zorze,
Lud się doczekać czegoś nie może,
Choć rączo śpieszył i kłusem.
Ha! nim zapieją kury nad ranem,
Każdy z nich będzie już nie z kapłanem
Rozmawiał — ale z Chrystusem.

Ostatnie race błysły czerwono,
Gdy do lichtarzy właśnie kładziono
Przed ołtarz świece już nowe;
Bo czegoś ludziom przy tej iskierce,
Przy światłach, szły, jak noc na Pasterce,
Te długie chwile grobowe.

Maleńkie dzieci, wijąc się z głodu,
Wołały: jeść... jeść... wciąż, bo od wschodu
Nie jadły nic — i nieletnie,
Wstrząsając rączki, kładły swe główki
Na piersiach matek, w śnie, jak makówki,
Gdy wiatr je mroźny podetnie.
A zato w starszych rosła otucha,
Że Bóg ich modłów chyba wysłucha,
Bo skoro dotąd ocalił,
To nie pozwoli na to w Swej mocy,
By kto Go ze snu zbił, i o północy
Rabował kościół i palił.
Więc też im dłużej tutaj, i niemniej
Coraz to ciszej było i ciemniej,
Chłodnego więcej powietrza,
A mniej czujności ludzkiej: bo w miarę
Jak noc spuszczała czarną kotarę,
To myśl senniejsza i letsza,
Na skrzydłach białych jęła się wznosić,
Upajać i nadzieją się kłosić.

Gdzieniegdzie świeca woskowa
Na kawał tylko pryśnie atłasu,
I strzeli knot, i od czasu do czasu
Pochyli senna się głowa,
Zbieleje włos, lub piersi od biedy
Odetchną głębiej kiedy niekiedy,
A potem wolniej, raz — poraz.
I cicho było...

Nagle, z północy,
Z biegunów wiatr się zerwał, i z procy
Pociskiem rzucił, jak borras,
Gdy mórz głębiny spieni i zorze.

Tak samo ten przeleciał po dworze;
Lecz tylko drzewa rozhuśtał,
Gałęzie zgiął, ku oknom je skłonił,
Raz lipowymi tylko zadzwonił
O szklane szyby i — ustał.
Po chwili znowu; ale tym razem
Na ustach z innym wracał wyrazem:
Dalekim — głuchym — jak morze,
Jak wulkan, który dymiąc z czeluści,
Wywęgli pół, a pół tonów puści,
I z ogni stać go na zorze,
Nim lawą splunie, stoki zapali,
I jak na szyji sznurek korali,
Na skałach ogień okręci.

Tak nie ustawał i ten, lecz głośniej
Coraz to bliżej wył i donośniej,
Do szumu, potem do pręci
Łamanych w lesie — w głuszy — w oddali,
A potem już podobny do stali,
I jak podkowa był dzwonny;
Aż się nakoniec zmienił u skrętu
Ulicy, w cwał wyraźny tętentu,
We wicher, galop stukonny!

Ludowi zrazu nim się przekona,
Nie chciały piersi puścić i dzwona
Na harmonijkach oddechu.
Nawet się ciszej stało — tak głucho,
Że potrafiło łowić już ucho
Lecące echo po echu.
Lecz w miarę, jak się dźwięki zbliżały,
To twarze ludzkie bladły i drżały,
Jak te z gałązki osiczej,
Na których wszystkie nerwy i włókna,
Ze zielonego przędąc się sukna,
Tak znać, że każdy policzy.

Dopiero wówczas, kiedy z podwórka,
Ze szmerem pierwsza doszła nas chmurka,
Huk ciągnąc z piersi, jak z rogu:
To najprzód dzieci w płacz i kobiety,
Na głos, co ztamtąd biegł, jak z pikiety
Porozstawianej u progu.
Nie uszła chwila: w proch się zmięszały
Z okrzykiem ludzi, wojska sygnały,
Już tratowały kopyta,
Rzemiennym cepem tłukły nahaje
Po kościach ludzi, tak, że się zdaje:
Że źdźbłem, już — ściernią są żyta.

I w tejże chwili, w górę, z kołczanu,
Ze spiżowego łuku, ze dzbanu,
Przedarła pieśń się jak strzała,
W dalekie, głuche, niosąc odmęty
Ponury jęk...

»O! Święty! o! Święty!
Na wysokościach Ci chwała!«

Zanucił lud i upadł z pokłonem ;
A słysząc dzwon, głowami, jak dzwonem
Bił o posadzkę kościoła.
Tylko się ruszał falą tych pszenic,
Nie odsłaniając twarzy i źrenic,
Że i nie wiedzieć — gdzie woła?...

Dok. n. *Stefan Komornicki.*



A tamten?

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).





Oswoiłam kruka i gołębia.

Z gołębiem łatwo poszło. Pogodna natura naginała się szybko do uległości, czujna wrażliwość przyjmowała najlżejsze pieszczoty, wrodzona łagodność drobnym poddawała się upomnieniom, a jeśli mu kiedy buntowniczo serce pod białym puchem zabiło, to jeden słodki wyraz wystarczał, jedno po skrzydłach muśnięcie, i już było dobrze, zapominał o świecie całym, oczy mu różowemi zachodziły łzami i znowu był mój.

W końcu tak się oswoił, tak przywiązał, jakby to było jego przeznaczeniem być ze mną, siadać mi na ramieniu, brać z ręki ziarka grochu, i cichutko mruczyć: gr-hu... gr-hu... co u gołębi znaczy — kocham.

Czekał cierpliwie całemi godzinami na chwilę wolną, gdy będę mogła, siadłszy przy oknie, porozmawiać z nim trochę. Leciał wtedy prędko, dawał ze sobą robić wszystko, i rozmarzony w końcu usypiał mi w ręku.

I oto siedzi dotychczas na mojem oknie, chodzi powoli tam i napowrót, główką kiwa za każdym krokiem i powtarza gr-hu... jakby pytał: no? a kiedyż mnie zawołasz?

Czuję dla niego dobre, spokojne uczucie wdzięczności, że się dał przyswoić, że mnie nigdy nie rozgniewał, nie uraził, i owszem, swą łagodnością zacierał nieraz ostrości mej własnej duszy. Raz, gdy poleciał kędyś na dzień cały, nie doznawałam o niego niepokoju, wiedziałam, że wróci, tylko się gdzieś zabłąkał, coś go zatrzymało w wycieczce.

Gdy wrócił, z pośpiechem zaraz się witał, coś gruchał żałośnie, tłómaczył się, a miał nożyny czerwone od zimna, kilka piór wyrwanych, i zdyszany był, zmęczony... nie chciał tak długo... nie jego wina... przeszkodzono mu.. gr-hu... gr-hu...

— Cicho, słodeńki... wszak ja ci wierzę, nie gniewam się, pójdź, ogrzej się, odpocznij.

Odtąd nie rusza się, siedzi i grucha.

A tamten?

O, tamten czarny! ileż z nim przeszłam trudu i pracy, nim się stał możliwym w obcowaniu, tamten, który, zamiast się oswajać, jeszcze i mnie chciał zdziczyć; ostry i nieprzystępny, zamknięty w sobie i kapryśny, ileż się z nim namęczyłam! Gdy był ponury, patrzyłam łagodnie, gdy miotał się sam w sobie, chciałam mu ulżyć, dotykając lekko jego czarnych skrzydeł, a on się wzdrygał i dziobał mnie w rękę.

— Cóż ty robisz? przecież to boli!

Wtedy patrzył smętnemi oczyma, spuszczał głowę, niby żałując i wstydząc się swej złości. A potem, znów — naraz głodny, odpychał jedzenie, pić mu się chciało, a wodę rozlewał, w mróz szybę stłukł i trząsł się na oknie od zimna.

Dziwak. Czasem się tak sam w sobie zamknął, tak zamilkł, tak się odosobnił w swej posępności, że gdy go chciałem wyrwać z tego stanu, ukoić, wysrebrzyć mu trochę tę czarną duszę, jeszcze gorzej się rozdrażniał, rzucał, miotał niecierpliwie, groził szponami.

Kiedy tak raz siedział, odwracając się odemnie, zesmutniały i martwy, aż mi słońce zaciemniał swoją szarą miną, otworzyłam mu okno na rozszerz:

— No, idź, jak chcesz! jesteś już zdrów, skrzydło ci się zrosło, idź, fantasto! Ja cię nie zatrzymuję; przyszedłeś zraniony, gorzki, zbity, więc cię przyjęłam, leczyłam, pocieszałam, teraz możesz odejść... — Wtedy on w kąt się wciskał, nie chciał wolności.

— Więc czegóż ty chcesz?

Poruszył się, mruknął żałośnie i przysuwać się zaczął powoli, dał się wziąć w ręce, głaskać, oczy mu błyszczały, taki był skupiony, taki pokorny, że już myślałam: dobrze, przecież ta czarna natura się rozjaśnia, — gdy naraz szarpnął się gwałtownie, znienacka szponem mnie zadrasnął i wyrwał się, kracząc przeraźliwie nademną: kra-a-kra! co u kruków znaczy — nienawidzę!

Taki już był. W tę dziką naturę lałam zdrój słodyczy, do nikogo tak nie mówiłam, jak do niego, pragnęłam go wyrozumieć, ułagodzić, utulić, a on, odzyskawszy siły, ze zrośniętem skrzydłem, poleciał kędyś światami, nawet się nie pożegnał i dzień wybrał burzliwy, żebym się niepokoiła o niego.

I gdyby choć całkiem zniknął, tobym może zapomniała, ale gdzietam! Od czasu do czasu kraknie mi nad głową, nie wiem skąd, gdzie, jak?

I choć mi ten dobry gołąb skrzydłami swemi jak srebrną łuską zbroi pierś przed smutkiem i tęsknotą, i grucha serdecznie: gr-hu... co u gołębi znaczy — kocham... choć cicho mi z nim i przyjemnie, to przecież, ponad przytuloną głową gołębia, patrzę na puste okno moje, gdzie posępny siadywał kruk i brak mi jego mrocznej postaci i mimowoli pytam: A tamten... tamten?...

Może dlatego, żem tyle cierpliwości włożyła w jego oswojenie, żem się tyle z nim nacierpiała, może dlatego?

Wszystkoż idzie na wagę cierpienia? wszystkoż wewnętrzną boleścią się mierzy? i miłość i pieśń... arcydzieło i nieznana ofiara... wielkie sprawy i drobne ulgi w życiu?...

Więc gdzie tamten... ten drugi?

A może to tylko wada mojej myśli, że dąży za tem, co dalekie, przeskakuje, co bliskie... Nuży się posiadanem, za fantastycznym tworem goni... Jednych uczuć stanem niezadowolona — pragnie tego, czego nie ma i tęskni: a tamten? a drugi? a inny?...

A może to duch ludzki ma już tę pierworodną nieśmiertelną wadę, że nienasycony wrażeniami, smutkiem, rozkoszą, walką, pracą tego doczesnego świata, niespokojnie wyrywa się za jego granice, nieutulony, wiecznie rozpragniony, pyta, bada, tęskni, i szuka, i marzy: a świat drugi? a tamten świat? a tamten?... *Szczęsna.*



Historja ruchu rewolucyjnego w Rosji.

(Dokończenie)



Z tego jej rwania się do czynu wypływa wielkie powodzenie »Listów Historycznych« Ławrowa, który w r. 1868 wskazał klasom oświeconym obowiązek służenia ludowi, ponieważ tylko kosztem jego pracy mogły się one wykształcić i zająć obecne stanowisko. Młodzież pochwyciła tę myśl z zapałem i zbliżyła się do ludu. Hasło pracy wśród ludu rzucone zostało poraz pierwszy przez Bakunina. Lud — twierdził on — zawsze gotów jest do rewolucji i zdolny jest po jej dokonaniu zorganizować się samodzielnie. Brak mu tylko poczucia własnej siły, nienawiści do ciemięzców i praktyki buntowniczej. Rewolucjoniści — według niego — nie potrzebują wcale uczyć się albo lud nauczać, ponieważ on sam zna swe cierpienia i ich źródło; powinni oni tylko rozdmuchać nienawiść do klas uprzywilejowanych, obudzić w ludzie poczucie własnej siły i wzmacniać je przez bunty. Spisku nie należy organizować centralistycznie, jak to robił Nieczajew, ale urządzić go na podstawie niezależności i wolnej federacji grup.

Piotr Ławrow był drugą osobistością, która oprócz Bakunina wywierała wielki wpływ na młodzież rosyjską. Były pułkownik i profesor akademji artylerji w Petersburgu, Ławrow został zesłany do gub. archangielskiej za udział w spisku Karakozowa. Stamtąd uciekł za granicę, brał udział w komunie francuskiej, a na początku 8 lat dziesiątku znalazł się w Zurichu. Tu wydawał on od r. 1873 do 1877 czasopismo »Wpieriod«, które było najważniejszym objawem literackim nowoczesnego ruchu rewolucyjnego w Rosji. Pismo to miało na celu walkę z teorjami teologicznemi i religijnemi, z państwowością i stało na gruncie obrony praw obywateli, obrony politycznych praw robotników przeciwko pracodawcom, prawa wolnych stowarzyszeń i gmin przeciwko centralizacji.

W głównych zarysach »Wpieriod« oświadcza się za wnioskami Międzynarodówki i pod względem celów i organizacji nie przedstawia żadnego zasadniczego odstępstwa od programu Bakunina. Wolność polityczna uważaną była przez »Wpieriod« za rzecz zupełnie drugorzędną w porównaniu z równością socjalną i ekonomiczną. Kwestje narodowościowe również powinne były ustąpić z planu wobec socjalnych. W przeciwieństwie do Bakunina Ławrow wymagał, ażeby propagandyści, chcący nauczać lud, zdobyli gruntowne, teoretyczne i praktyczne przygotowanie i dopiero po takiem przygotowaniu się szli między lud i sami stawali się robotnikami i chłopami i przyspasabiali towarzyszy do ruchu. Dopiero gdy po długiej propagandzie lud pozna swe prawa i siłę, wówczas można go poprowadzić do czynu. To wymaganie gruntownego wykształcenia przygotowawczego, oburzyło prawie całą młodzież, żądną natychmiastowego ruchu.

Przeciwko Ławrowowi wystąpił emigrant Piotr Tkaczow. Młodzież, nieznająca warunków życia ludu, łudziła się całkowicie co do jego gotowości do rewolucji. Wszystkie stowarzyszenia zawiązujące się w wielkiej ilości w 1872—1875 w Rosji miały jedno hasło: »do ludu«. Niektórym chodziło przedewszystkiem o poznanie tej *terra incognita*, tego ludu, dla którego chcieli żyć i umierać. Inni w roli nauczycieli, akuszerek, felczerów zamierzali cywilizować lud, podnieść jego poziom duchowy i obyczajowy. Innym znowu chodziło o rozbudzenie świadomości ludu co do jego położenia, co do sprzeczności jego interesów z interesami klas posiadających. Wreszcie wielu miało płonną nadzieję, że uda się zorganizować partję ludową i że w niedalekiej przyszłości uda się wywołać powstanie. Zapał w tym kierunku z olbrzymią siłą ogarnął w 1872—77 r. wykształconą młodzież rosyjską i popchnął ją do przeniesienia propagandy z tajnych, hałaśliwych zebrań studenckich do fabryk i chat wieśniaczych. Ruch, który rozpoczął się w bardzo skromnych rozmiarach, stał się wkrótce epidemicznym. Naturalnie, że działalność ta wielkich rezultatów przynieść nie mogła. Propagandyści byli zbyt młodzi i zbyt zapaleni, przyczem zachowywali się bardzo nieostrożnie. Co zaś do ludu, to ten zachowywał się nietylko nieprzychylnie, ale niekiedy wprost wrogo względem młodych zapaleńców — denuncjował i zdradzał ich i związanych oddawał w ręce policji. Wędrówka między lud była w ten sposób raczej pielgrzymką wier

nych, przy tem łatwowiernych tłumów mężczyzn, kobiet i dzieci do świętego miejsca, za jakie uważano życie ludu, aniżeli poważnie obmyślonym czynem świadomej i zorganizowanej partji rewolucyjnej. W r. 1875 propaganda ta została ostatecznie wstrzymana, większość ludowców aresztowana, a ich organizacja rozbita. Pozostali socjaliści zebrali się w miastach, przeważnie w Petersburgu, zajęli się jak najsurowszą samokrytyką i nadzwyczaj żywymi sporami o niepomyślnych rezultatach ruchu i o zmianie kierunku.

Ku końcowi r. 1877 rewolucyjni agitatorzy, którzy dotychczas tylko pojedyńczo działali na południu i w Moskwie, zawładnęli całym nowopowstającym ruchem, nadali mu swą barwę, a idee swe aż na północ rozszerzyli. Miejsce socjalizmu kosmopolitycznego zajęło jako cel, spełnienie życia samego ludu („narodniczestwo“), miejsce propagandy ustnej — agitowanie czynami („buntarstwo“), miejsce propagandy koczującej, czasowej — stałe osady wśród ludu, wreszcie miejsce prostego podburzania ludności — organizowanie jej w związki w celu bezpośredniej walki („bojewyje otdieły“). Przedstawiciele tego nowego kierunku nazwali siebie »narodnikami-buntariami«. Ich organem była „Ziemla i Wola«, około którego skupiły się najdzielniejsze siły rewolucyjne (M. Natanson, A. Michajłow i inni). Równocześnie powstaje miesięcznik »Nabat«, wydawany przez pełnego talentu i krytycyzmu pisarza Tkaczowa. Pismo to propagowało bezustanny teror, zabijanie szpiegów, zdrajców i okrutników, a później też wszystkich ciemięzców bez różnicy tytułu i stanowiska. »Nabat« jednak nie miał wielkiego wpływu. Okres agitacji rewolucyjnej w ll. 1875—1872 zakończył się głośnym procesem 193. Liczba osób, zamieszanych w tym procesie doszła do 3.800, liczba oskarżonych do 770, przed sądem zaś stanęło w Petersburgu 193.

W ruchu rosyjskim w r. 1878 zaszła gruntowna zmiana, która doprowadziła do jawnego rozdwojenia partji rewolucyjnej. Usunięto na dalszy plan cele socjalistyczne dla politycznych; pokojowe środki zastąpiono teroryzmem, a luźną dotychczas organizację zupełnie niezależnych od siebie kółek — organizacją socjalistyczną ze ścisłą dyscypliną i konspiracyjnością. W zimie 1877/78, polityka wystąpiła na pierwszy plan. Potworna demoralizacja sfer rządzących, z której wojna turecka zdarła zasłonę, złowrogie wieści o klęskach pod Plewną, następnie nieprzyjemne wrażenie, jakie wywarł traktat berliński, wszystko to przyśpieszyło dojrzewanie świadomości tego, że nastał nareszcie czas, aby społeczeństwo objęło kontrolę nad rządem.

Równocześnie liberali i słowianofile otwarcie domagali się konstytucji. Tymczasem areszty i prześladowania rewolucjonistów nie ustawały; przeciwnie — odbywały się z wzrastającą gorliwością; system szpiegowstwa dochodził wprost do doskonałości. Jeden szpieg, któremu udało się wkraść w zaufanie jakiego kółka, mógł potem zaprowadzić do więzienia dziesiątki byłych towarzyszy. Ci więc, zabijąc go, widzieli w tem czyn obrony osobistej. W ten sposób zamordowano kilku szpiegów w Odesie i Petersburgu, Rostowie i Moskwie. We wrześniu 1878. r. została rozbita organizacja największego stowarzyszenia „Ziemla i Wola“. Stowarzyszenie to jednak nie przestało istnieć; przeciwnie, założyło własną drukarnię i poczęło regularnie wydawać pismo „Ziemla i Wola“. Liberalny prąd polityczny, dążący do konstytucji w r. 1874 doszedł do najwyższego punktu swego rozwoju i nawet socjalistów począł silnie ogarniać. Socjaliści widzieli, że najniebezpieczniejszym ich wrogiem byli nie właściciele ziemscy i fabrykanci, lecz rząd i urzędnicy, którzy z bezprzykładną samowolą i wszechmocą tłumili w zarodku wszelki ruch wolnościowy. Bezpieczeństwo osobiste nie istniało wcale: nie było żadnej wolności politycznej, swobody słowa, zebrań, stowarzyszeń, które stanowią legalną podstawę wszelkiej agitacji. To też zdobycie tych praw ukazało się jako najbliższe zadanie, od którego rozwiązania zależała możność propagandy wśród ludu. Znalazł się punkt styczności z liberałami. Rozpoczęły się narady pomiędzy liberalnymi przedstawicielami ziemstw, prasy i adwokatury. Najpoważniejsi przedstawiciele młodzieży, którzy potem zginęli jako teroryści, przyjmowali udział w tych naradach.

Tymczasem walka pomiędzy rewolucjonistami a rządem nie ustawała. W zimie r. 1879 w samym Petersburgu aresztowano 2000 osób. Było kilka zamachów, wymierzonych przeciwko figurom, zajmującym ważne stanowiska, ale socjaliści coraz bardziej przekonywali się, że przez to jeszcze nie trafiali w sedno rzeczy. Wskutek tego zjawiła się idea carobójstwa. Dnia 2. kwietnia 1879. r. został dokonany zamach na cara przez Sołowjewa. Sołowjew wystrzelił pięć razy do przechadzającego się cesarza i ani razu nie trafił. Po tym zamachu nastąpiło niezwykłe wrzenie w kołach rewolucyjnych. Odbyły się zjazdy rewolucjonistów (w Lipiecku i Woroneżu) i ku końcowi 1879 r. nastąpiło stanowcze rozdwojenie. Utworzyły się dwie partje: polityczno-centralistyczno-terorystyczna (»narodowolcy)« i socjalistyczna, rewolucyjno-agitatorsko-federalistyczna (»czornopieredielcy«). Oficjalnymi organami obu partji były »Narodnaja Wola« i »Czornyj Pieredieł«. Projekt zamachu 1. marca 1881 r. wyszedł od Komitetu Wykonawczego »Narodnej Woli«, a wykonanie było polecone związkowi robotniczemu. Ofiarowało się 47 ochotników; z tej liczby wybrano niektórych. W konspiracyjnem mieszkaniu Kibalczycz studjował przyrząd wybuchowy i robił z nim próby. Jednocześnie inny sprzysiężony przygotował podkop w sklepiku ze serami na Małej Sadowej ulicy; most kamienny był podminowany przez Żelabowa i kolegów.

Próba więc była potrójna. Od rana 1. marca 1881 r. sześciu ludzi z bombami stało w pogotowiu. Z. Perowska dała znak chustką. Pierwsza bomba Rysakowa ominęła cara, ale nieopatrzny zwrócił się w tę samą stronę. Na ten raz Hryniewiecki trafił lepiej i padł jednocześnie z Aleksandrem II.



Icek Harmider, felczer,

U ADWOKATA.

Z monologów Klemensa Junoszy.

Wielmożny panie adwokacie! Nie potrzebuję dużo gadać... mam trochę kryminalną sprawę, kawałek takiego interesu, co wcale nie jest bardzo przyjyemny, a wszystko przez naszych kochanych doktorów... Ładne życie! ładne czasy! Tfy! Jak Wojtek Bałaban z Koziej Woli był chory, to oni nie pisali żaden protokół; jak Wojtkowi zrobiło się lepiej, to też nie pisali protokół, ale jak Wojtek sobie trochę umarł, to zaraz zrobili cały gwałt! Obdukcje, sekcje, protokół, sprawę! Że chłop umarł — wielka ciekawość!... Jabym chciał mieć tyle tysięcy, ile chłopów przez jeden rok umiera... Oj, ja nie potrzebowałbym rwać zęby, stawić bańki, puszczać krew, golić komu kawałek gęby... To nie jest piękny fach — paskudne zatrudnienie, nawet jeżeli bez protokołu, a z protokołem to już nie fach, nie zatrudnienie, ale całe nieszczęście! Niech-no pan adwokat słucha. Oni piszą protokół, oni robią sprawę, oni chcą, żebym ja w kryminale siedział... Za co? Za to, że ja daję ludziom zdrowie, że ich ratuję w brzydkiej słabości, że się znam na medycynie? Aj waj, jak ja się znam! W całem miasteczku mnie znają, w całej okolicy znają, i doktorzy, na moje nieszczęście, mnie znają — i przez to jest cała ich złość. Oni zazdrośni są, że ja im psuję praktykę; robią takie plotki, że ja łapię chorych na ulicy, że piszę recepty, że puszczam krew, że przystawiam używane pijawki, że kaleczę bańkami, że podejmuję się robić operację, że... cha! cha! Panie adwokacie, oni też powiadają, że ja potrafię zrobić jątrzącą się ranę takiemu żydkowi, co do wojska ma iść; że potrafię popsuć mu ucho, albo oko, albo zrobić inny feler... Co oni nie powiadają! Oni są źli, bo oni mają doktorskie patenty i do nich ludzi nie przychodzą, a ja nie mam doktorskich patentów i u mnie zawsze pełna izba chorych! Ja jestem tylko felczer, a oni wielkie doktory! Tylko felczer; zdaje się, marny żydek, wcale nie osoba — tymczasem, kto mnie zna, to wie, że drugiego Harmidera, drugiego takiego medycynnika w całem miasteczku nie znajdzie... Co Icek Harmider potrafi, tego dziesięciu doktorów, żeby ich do kupy złożyć, nie potrafią! Temu dwa miesiące, nasz pan burmistrz był bardzo słaby na zęby: trzeba mu było wyrwać jeden, trzonowy. On mnie do tego zawołał! Dlaczego doktora nie wołał?! I nie zabawiło pół godziny — nie miał zęba! a jaki to był ząb! jaki ząb!... na moje sumienie!... A jak naszego aptekarza ciotka miała wielkie bolenie i trzeba było koło niej coś zrobić, to też nie wołali doktora, tylko mnie! Przecie aptekarska ciotka też osoba! Mogą się państwo zapytać, czym sfuszerował? Kto stawiał pijawki panu pisarzowi od sądu? — Icek Harmider! Kto smaruje nogę panu regentowi, jak mu łamany ból dokucza? — Icek Harmider. Kto stawiał cięte bańki księdzu wikaremu, jak on miał zapalenie płuc? — Icek Harmider... Wszystko Icek — leczył, pracował, fatygował się, i, Bogu dzięki, burmistrz już zdrów, i aptekarza ciotka jest zdrowa, i pisarz zdrów i ksiądz wikary zdrów. Dlaczego o tem nie jest pisany protokół? i dlaczego o tem nie jest pisany protokół, że stara Boruchowa umarła, choć był u niej jeden doktór, i drugi doktór i później na konsyljum trzech doktorów? Ha? Dlaczego o tem nie ma protokół, jak o tym Wojtku Bałabanie? Pan adwokat powiada, żebym ja szedł prosto do sprawy. Właśnie ja do niej idę... Powiadają, że ja jemu krew puściłem, temu kwartał, że na to są dwa świadki i znak na ręku... Mają dwa świadki, co niby widzieli, jak ja krew chłopu puściłem; a ja mogę zaraz postawić dwieście świadków, co tego wcale nie widzieli! Co się tyczy znaku — jaki to jest dowód? Ile ludzi ma znaki na ręku! Co to jest znak? — znak nic nie jest. Do zrobienia znaku wcale nie potrzeba felczera... chory mógł się zadrapać, mógł się sam skaleczyć; a może ukąsił go jaki robak, może, za wielkiem przeproszeniem, pchła? Ale doktór się zawziął, chciał koniecznie protokół, no i jest protokół... On się już cieszy, że ja będę siedział w kryminale, że mi odbiorą felczerstwo... Niech on się cieszy. Tymczasem, ja tu przyjechałem i wiem, że mnie pan adwokat wyratuje... Ja pieniędzy żałować nie będę — dam sto, dam dwieście rubli! Tylko niech pan adwokat tak gada, żeby doktór nic nie wskórał. Mnie nie idzie o koszt, ja się z doktorem później porachuję... tymczasem idzie o mój honor...

Pan adwokat chce wiedzieć całą prawdę... no, ja powiem... Że chłop chory był, to jest prawda; że się leczył u tego samego doktora, co mnie skarży, naprawdę nie jest całkiem prawda; ale co to panu adwokatowi szkodzi, kiedy ja dam czterech świadków, co mogą przysiądz, że prawda... O tę krew, co niby ja miałem z chłopa wypuścić krew, temu kwartał — to ja nic nie pamiętam. Może to trochę prawda, ale mnie sie zdaje, że nieprawda, bo nie ma na to żaden do-

wód, tylko znak. Może być pytanie: kto zrobił znak? Albo ja wiem?... Są inne takie ryzykanty między felczerami. Ja nie chcę nikogo skarżyć, nie jestem żaden denuncjant, ale mi się zdaje, że tę krew puścił Berek Pistolet, drugi felczer z naszego miasteczka, co — będzie temu ze dwa miesiące, wyjechał z żoną i z dziećmi do Ameryki. On był golibroda medycyński i okropny ryzykant. Szynkarz tak piwa z beczki nie toczył, jak on potrafił z chłopów krew toczyć... Czy on puszczał krew Wojtkowi, ja nie wiem... ale mam świadki, że on... On bardzo śmiały był! Ja sam się nieraz bałem, że on w kryminale skończy... On już tam w New-Yorku pewnie masę krwi puścił — taki gwałtownik! Powiada pan adwokat, czy ja mogę być pewnym moich świadków? To wszystko porządni obywatele; nie było zdarzenia, żeby oszukali kogo w takim interesie.

Dok. n.



Przyszłość rasy białej.

Nauka nowoczesna bardzo dużo poświęca czasu przyszłości naszej, a liczba dzieł, przepowiadających to, czego nie zobaczymy nigdy, jest doprawdy zdumiewającą. Nawet i nauki ścisłe, jak antropologja i socjologja mówią nam wciąż o tem, co będzie. Między innemi stawiają sobie uczeni pytanie: »Jaka będzie przyszłość rasy białej?« Czy zginie ostatecznie ze szczętem, poskromiona przez rasę czarną i żółtą? Alfred Fouillée w *Revue des Deux Mondes* stara się znów odpowiedzieć na to pytanie. Autor artykułu stara się nas zapewnić, iż możemy być spokojni o naszą przyszłość, która zależeć będzie wyłącznie od naszej inteligencji, moralności i silnej woli.

Wolno nam kopać przepaść pomiędzy człowiekiem rasy kaukaskiej a murzynem, zawsze jednak dla moralisty i filozofa istnieć będzie tylko jeden rodzaj duszy ludzkiej. Zagłębiając się w historję, znajdziemy bliżej lub dalej wszystkie rasy zjednoczone w tych samych zajęciach, w użyciu jednych i tych samych instrumentów, w tych samych zwyczajach i obyczajach, w jednych i tych samych wierzeniach itp. Psychologja ras może więc określić charakter podstawowy ras ludzkich, charakter wspólny wszystkim rasom bez wyjątku. Nawet języki w początkach swego rozwoju mają ogólne cechy charakterystyczne, zbliżone do krzyków, wykrzykników i t. p. Giest pomaga wszystkim razem do porozumiewania się, dopóki nie dojdą do pewnego rozwoju intelektualnego, wiodącego za sobą subtelności językowe. To też boszimanowie, których język jest bardzo mało rozwinięty, często nie mogą się porozumiewać w ciemności.

Rozwój zarówno fizyczny, jak umysłowy idzie bardzo powoli. Dobór naturalny całych tysięcy lat potrzebuje do wywarcia tego lub owego wpływu na pewną grupę osobników. To też są granice, przez które rasy mniej cywilizowane nie przejdą tak prędko, aby mogły się stać groźnemi rasom więcej ucywilizowanym. Z drugiej strony warunki gleby i klimatu zakreślają pewne granice szerzeniu się wpływów rasy białej. W klimacie podzwrotnikowym krew europejska blednieje, aklimatyzacja białych w pewnych strefach jest wprost niemożliwa.

Jeden z podróżników amerykańskich widział w ostatnich czasach przy pracy emigrantów niemieckich, przetransportowanych do Brazylji. Po dwuletnich próbach znajdziecie kolonistę niemieckiego, siedzącego w cieniu drzewa figowego, które zasadził jego poprzednik portugalski. Do pracy niemiec już wynajął murzyna. Przyjdźcie za lat kilkanaście na to samo miejsce, a ujrzycie, iż panem placu pozostał tylko murzyn; kolonista niemiecki umarł na febrę lub powrócił do kraju. Według zapewnień fizjologów amerykańskich, na brzegach Amazonki ludzie z rasy białej zaczynają znikać już w trzeciem pokoleniu, bo stają się ofiarami skrofułów. W Gwatemanli pozostało już bardzo mało krwi hiszpańskiej, w Meksyku, względnie do ogólnej liczby ludności, przebywa zaledwie garstka europejczyków. Granice ras, uważane ongi za rozciągające się bez końca, za najzupełniej ruchome, są w gruncie rzeczy nieruchome, a ciągną się wzdłuż granic, dzielących ziemię na strefy.

To też, według Pearsona, terytorja, otwarte dla przyszłej emigracji europejskiej, są bardzo ograniczone. Bo gdzie może osiąść obecnie europejczyk? Pozostało mu trochę miejsca w Ameryce Północnej, w Argentynie, w Azji środkowej, na niektórych wyspach Oceanji, na wybrzeżach morza Śródziemnego i w miejscowościach, położonych na północ od przylądka Dobrej Nadziei. Bardzo prawdopodobnem jest, iż chińczycy rozbiegną się po świecie, jak tylko cywilizacja europejska podetnie u korzeni ich konserwatyzm barbarzyński, na którym jedynie stoją. Bardzo jest więc prawdopodobnem, iż ubiegną rasę białą w Azji centralnej, tem bardziej, iż jest ich tak wiele: obecnie 400 miljonów, za lat 50 będzie 800 miljonów. To samo zauważyć się daje w Afryce, gdzie ludność murzyńska podwaja się co lat 40. W r. 1842 Anglja zajmuje Natal, gdzie liczono zaledwie pięciu murzynów na milę kwadratową. Zachęceni łagodnością klimatu, europejczycy dążą tu gromadnie. Ale za niemi dążą i murzyni, nie licząc chińczyków i hindusów. Dziś na jednego białego znajdziecie w Natalu już 13 osobników ras kolorowych. Za lat 50 europejczycy zginą w masie.

Dodać do tego należy konieczność praw ekonomicznych. Hindusi, których jest 300 miljonów, staną się z czasem stowarzyszeniem prze-

mysłowem, produkującem na — eksport. Czterysta miljonów chińczyków również z czasem stanie się miljonami wielkich producentów. Niech tylko chińczycy zdobędą sobie tani opał, a przemysł europejski będzie miał do zwalczania nową bardzo ciężką konkurencję, tak jak dziś zwalcza już konkurencję Ameryki.

Nie będzie więc rasa biała szerzyła się bez granic, jak tego chcą entuzjaści rasy kaukaskiej. Przyroda sama zakreśliła rasom pewne granice, po za które przechodzą z trudnością, a jeżeli zbyt uparcie przekraczać chcą te granice przyrodzone, giną lub wyradzają się. Z drugiej jednak strony prawu ograniczenia działalności ulegają i rasy żółte, a nawet czarne. Nie ma więc podstawy zbyteczna obawa wyparcia europejczyków przez rasy żółte z siedzib, zamieszkiwanych od wieków przez rasy białe. Strefy umiarkowane będą zawsze polem działania ras inteligentnych, gdy strefy podzwrotnikowe pozostaną dla ras na niższym stopniu rozwoju.



Rozbiory i sprawozdania.

»Poezje Andy«. — Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895.

Piosnki moje! myśli moje!
Lećcie w świat!
Głoście moc miłości, wiary,
Która wieczne kryje czary —
I zakwita ponad znoje
W szczęścia kwiat!

Takie motto umieściła, znana czytelnikom naszym, a podpisująca się pseudonymem Andy, młoda poetka, występująca poraz pierwszy przed forum publiczności. W słowach tych streściła ona cały swój pogląd na świat, nuta bowiem miłości i wiary wyłania się niemal z każdego jej wierszyka. Miłość ta, miłość kraju i tych, co na współczucie i miłość przedewszystkiem zasługują, miłość ludu wiejskiego — oraz wiara w zwycięztwo dobrej sprawy i piękna charakteryzują niewielki, lecz wdzięczny tomik jej utworów.

Miłość ojczyzny była źródłem natchnień dla przeważnej części utworów Andy; kilka razy (za często, jak na tak mały tomik) głosi ona chwałę Trzeciego Maja, znajdujemy prócz tego strofy, odnoszące się do ruchu listopadowego, do pogrzebu Kościuszki, pogrzebu Mickiewicza lub Lenartowicza, którego pamięci poświęciła Anda najpiękniejszy i najrzewniejszy, mojem zdaniem, wierszyk, zatytułowany »Lirnikowi na sen złoty«. Jakkolwiek tematem tych utworów są najczęściej wypadki historyczne i zdarzenia, których przebieg smutkiem napełnia serce poetki, jednakże rozpaczy u niej nie znajdujemy, przeciwnie krzepi ją ciągle wiara w świetlaną przyszłość, w świt zmartwychpowstania ojczyzny, bo:

...Póki brzmi w koło święte boju hasło:
»Wiarą i pracą nam do wrót wolności!«
Póki w cierpieniu nie zbraknie godności,
Promienne słońce — o! jeszcze nie zgasło!

Wiara poetki nie jest jednakże ślepą, opartą na iluzjach; wie ona, że każdy skutek ma swą przyczynę, i dlatego nawołuje do pracy, do ponoszenia trudów i mozołów; wie ona, że przyjdzie dzień świtu, ale wtedy, gdy:

po latach pracy i znoju
Pod jednem hasłem staną do boju
I ci — co świecą i ci co grzeszą,
I ci — co pieczę mają nad rzeszą,
I ci najbardziej — co świętej ziemi
Chronią i strzegą dłońmi własnemi...

Demokratyczne zasady poetki przejawiają się nietylko w miłości ludu, w którym spostrzega »iskry wieczyste«, wzniecone przez Kościuszkę, ale i w odczuciu jego położenia i cierpień, czego wyraz dała poetka w dłuższym poemaciku »Hania Pastuszka«, który mimo zalet, właściwych Andzie, nosi na sobie widoczne ślady wpływów obcych. Niezupełnie też wolnym od nich jest utwór »Kołomyjka«, przypominający opisy Mickiewicza — na obronę poetki zaznaczyć jednakże wypada, że jest to najwcześniejszy z utworów jej, zawartych w wydanym tomiku.

Prawdziwy poeta odczuwa piękno a przedewszystkiem piękno natury; zachwyty te prowadzą jednych do posępnych refleksji (Tetmajer), dla innych zaś są źródłem ukojenia w czasie bólu duchowego lub tęsknoty. Wpływ ostatni, kojący, widocznym jest u Andy we wszystkich utworach, w których uwielbia naturę w wiosennej szacie i raduje się wołając: Jakiż ten świat śliczny, Boże mój! mój Boże!...

Dłużej się nad tym punktem nie zatrzymuję, opisy natury znają bowiem czytelnicy nasi z utworów, umieszczanych w »Tygodniu«, a przejdę wprost do omówienia filozoficznych zapatrywań poetki. Anda, jak zaznaczyłem, różowo zapatruje się na świat, i raz tylko w wierszyku »Zdawało mi się...« daje wyraz zniechęceniu i przygnębieniu, przemijającemu zapewne, bo aczkolwiek wie ona, że życie jest walką i cierpieniem, zaznacza, że walka ta podnosi człowieka i uszlachetnia. Ten brak pesymizmu odróżnia Andę od przedwcześnie zmarłej Marji Bartus, owego »słowiczka«, z którą posiada wiele cech wspólnych, przedewszystkiem w odczuciu piękna natury; ten brak pesymizmu a raczej krytycyzmu nie pozwala jej być Tytanem lub Prometeuszem, jak Konopnicka.

Na zakończenie zaznaczam, że Andę uważać możemy za zwolenniczkę kierunku zdrowego, nie przesiąkniętego zniechęceniem do życia — a poezję jej, nie obejmującą dotychczas szerszych widnokręgów, za objaw tego kierunku, mającego tak nielicznych wśród współczesnych poetów zwolenników.

Zdzisław.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.